

A young boy in a yellow shirt and patterned shorts is looking up at a soccer ball in the air. The background is a blurred wall with a Brazilian flag. The text is overlaid on the left side of the image.

BARTŁOMIEJ RABIJ

PODCIĘTE SKRZYDŁA KANARKA

BLASKI I CIENIE
BRAZYLIJSKIEGO
FUTBOLU

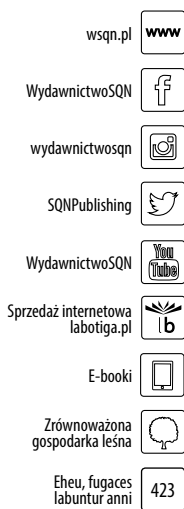
**PODCIĘTE
SKRZYDŁA
KANARKA**

BARTŁOMIEJ RABIJ

**PODCIĘTE
SKRZYDŁA
KANARKA**

BLASKI I CIENIE
BRAZYLIJSKIEGO
FUTBOLU

KRAKÓW 2019



wsqn.pl



WydawnictwoSQN



wydawnictwosqn



SQNPublishing



WydawnictwoSQN



Sprzedaż internetowa
labotiga.pl



E-booki



Zrównoważona
gospodarka leśna



Eheu, fugaces
labuntur anni



Podcięte skrzydła kanarka. Blaski i cienie brazylijskiego futbolu

Copyright © by Bartłomiej Rabij 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski

Korekta – Piotr Królak

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na I stronie okładki – Tony Burns / Getty Images

Fotografia na IV stronie okładki – Art Rickerby / Getty Images

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUANTUM

Wydanie I, Kraków 2019
ISBN: 9788381294768

PROLOG

Kiedy tworzyły się reguły futbolu, Brazylia była jeszcze feudalnym krajem z zalegalizowanym niewolnictwem. Na pierwszym mundialu reprezentowali ją tylko zawodnicy ze stolicy państwa. Lecz niedługo potem nastąpił nieprawdopodobny wprost skok, którego efektem była seria zdobytych mistrzostw świata i odebranie Anglii miana ojczyzny futbolu. Talentów Brazylia miała na pęczki, obdzielała nimi nawet inne reprezentacje. Sławni piłkarze z tego kraju, którzy nie zagraли w mistrzostwach świata, stworzyliby potężną drużynę, która mogłaby... walczyć o mistrzostwo świata.

Supremacja nie trwa jednak wiecznie. Od kilkunastu lat brazylijski futbol przeżywa kryzys. Czy przetrwa go i wyjdzie z niego mocniejszy, czy wspomnienie Romário, Ronaldo, Ronaldinho, Rivaldo, Rivellino czy Roberto Carlosa będzie tylko historyczną wyliczanką?

Nazywani „artystami futbolu” i mający najwięcej indywidualności i wybitnych postaci w historii piłki nożnej Brazylijczycy mieliby się przejmować, jaka przyszłość czeka ich futbol?

Przecież nigdy nie musieli się martwić o narybek, rzesze talentów kwitły tam równie ochoczo jak kawa. Ba, z czasem wokół brazylijskiej piłki narosło sporo mitów, jak chociażby ten

o cudnych talentach zabieranych prosto z plaży. A przecież nic bardziej mylnego!

Za ich wielkimi sukcesami stała ciężka praca i dorobek nie tylko rzekomo poruszających się w rytmie samby Kreolów, lecz ogromna gotowość do czerpania z mądrości i doświadczeń emigrantów z Argentyny, Włoch i Węgier.

Kiedy Brazylia w 1958 roku sięgała po pierwsze mistrzostwo świata, była najlepiej przygotowanym uczestnikiem turnieju. Metody treningowe, sztab szkoleniowy, organizacja drużyny i zgrupowań stawiały ich daleko przed konkurentami z Europy. Według powtarzanej przez ignorantów legendy Brazylijczycy grali radosny, spontaniczny futbol, którego tak dzisiaj brakuje w skrajnie zorganizowanym sporcie XXI wieku. Ale to Brazylia jako pierwsza wprowadziła testy psychologiczne dla zawodników, jako pierwsza miała trenera przygotowania fizycznego, którym był instruktor sportowy brazylijskiego wojska i policji. Sztab Brazylii w 1958 roku był najbardziej rozbudowany ze wszystkich sztabów reprezentacyjnych w tamtych czasach. Jak wspomina Ruy Castro, Brazylijczycy korzystali choćby z odkryć tak zwanego „futbolu naukowego”, praktykowanego wówczas w Związku Radzieckim, czy analizy taktycznej ze słynnej szkoły Węgrów.

Piłkarzy brazylijskich trenowano wówczas jak pilotów odrzutowców. Poszukiwano najnowszych trendów medycznych, analizowano dietę, wprowadzono obowiązkowe leczenie zębów, co w owych czasach było rozwiązaniem rewolucyjnym. Zdobywając swoje pierwsze mistrzostwo, Brazylia znajdowała się w awangardzie nowoczesnego futbolu. W 1962 roku Canarinhos ciągle byli najlepsi. W 1966 roku, na mundialu w Anglii, zlekceważyli rywali i przygotowania, prowadząc zamiast zgrupowań akcję

propagandową pod egidą dyktatury wojskowej. W 1970 roku znów zaskoczyli świat. Jako pierwsi przyjechali na mundial do Meksyku i przez miesiąc budowali formę w tamtejszych górach, chociaż pierwsze cztery mecze grali na nizinach. Selekcjoner Mário Zagallo wspominał po latach: „Nasi lekarze zapewniali, że forma będzie rosnać wraz z kolejnymi spotkaniami na turnieju. Jej szczyt osiągniemy w decydujących meczach, akurat wtedy, kiedy przeniesiemy się na wysokości. I dokładnie tak było. Nikt poza Brazylią na to nie wpadł. Nikt nie przygotowywał się tak jak my”.

Na mundial w Argentynie w 1978 roku Brazylię przygotowywał wieloletni asystent Zagallo do spraw przygotowania fizycznego, były wojskowy, Cláudio Coutinho. Ów trener, zafascynowany badaniami prowadzonymi na sportowcach w Stanach Zjednoczonych, zaproponował powszechnie dziś znaną koncepcję ścisłego powiązania przygotowania fizycznego z wymogami taktycznymi i stylem gry zespołu. To, co Guardiola „wymyślił” w Barcelonie, Coutinho próbował robić w drugiej połowie lat 70. z Brazylią. Jego ambitne plany zniweczyła przedwczesna śmierć.

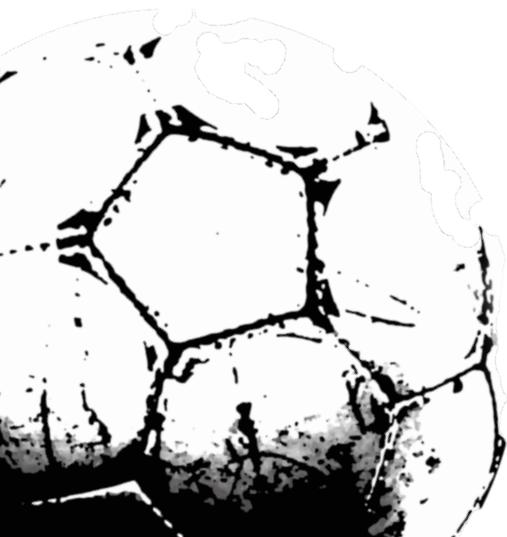
A słynna *joga bonita* z 1982 roku za kadencji Telê Santany? Owo spontaniczne i finezyjne granie było niczym innym jak perfekcyjnym wykonywaniem powierzonych przez trenera ról. „Telê uważał, że liczy się przede wszystkim praca i dyscyplina. Kochał dyscyplinę i był bardzo wymagającym trenerem” – wspominał go po latach jeden z asystentów, potem trzykrotnie uznawany za najlepszego trenera Brazylii, Muricy Ramalho. Jako żywo opis pasuje do naszego najślynniejszego trenera, Huberta Wagnera, którego pseudonim „Kat” mówi wszystko: jeśli chcesz wygrać, musisz orać i być zawsze przed konkurentami. Będący

w życiowej formie Sócrates miał wówczas najdłuższy epizod abstynencki w karierze.

I ta wielka Brazylia, która przez dekady była w awangardzie światowego futbolu, przespała największe zmiany zachodzące w międzynarodowej piłce, a kiedy na nie zareagowała, okazało się, że jest spóźniona o kilkanaście lat, a co gorsza, nie ma pojęcia, jak dogonić stracony czas.

Brazylia na każdym mistrzostwach świata uchodzi za jednego z faworytów. Zawsze ma w składzie kilka gwiazd światowego formatu i marzy o końcowym tryumfie. Ale nawet złote medale nie przypudrują rozkładu futbolu w tym kraju. To paradoks, ale jak pokażę w niniejszej książce, wygrana na mistrzostwach świata w 1994 roku zdarzyła się podczas wielkiego kryzysu polityczno-gospodarczego, który dał początek upadkowi kanarka.

I
MIASTA FUTBOLU



PORTO ALEGRE. 2011

„Nie wygramy tego mundialu. Nie ma szans” – powiedział z rezygnacją w głosie Tulio Milman, kiedy zapytałem go przed meczem 1/8 finału z Chile o szanse Brazylijczyków na sięgnięcie po Puchar Świata. Pytałem grzecznościowo, bo szanse Brazylii były znikome. „Kraj futbolu” sprzedaje każdego powyżej 15. roku życia, pieniądze się rozchodzą, kryzys pożera lokalny futbol. Dawne czasy bezpowrotnie minęły. To wtedy przyszedł mi do głowy pomysł na tytuł książki. Brazylia jeszcze nie przegrała organizowanego przez siebie mundialu, ale grała naprawdę kiepsko. Ledwie wyszła z grupy po słabych meczach z Chorwacją i Meksykiem oraz rozgromieniu Kamerunu, który rzucił ręcznik jeszcze przed startem zawodów.

Tulia znam od 2011 roku, był moim przewodnikiem po historii i stadionie Internacionalu Porto Alegre, legendarnego brazylijskiego klubu, którego *eternal idolo* Falcão był trzy razy wybierany na najlepszego piłkarza Brazylii. Poznaliśmy się z Tuliem dzięki Letícii Wierzchowski, autorce literackiego hitu

A Casa das Sete Mulheres (Dom siedmiu kobiet). Książka została potem zekranizowana, film był hitem, pociągnął sprzedaż powieści, kilka lat później pokazała go największa telewizja Azji, CCTV. Letícia, przemiła osoba spragniona kontaktów z Polską i Polakami, pisze obecnie bajki dla dzieci i powieści historyczne. W lutym 2011 roku byłem pierwszym dziennikarzem z Polski, który do niej dotarł. To ona, słysząc, że nie dostałem akredytacji na mecz Copa Libertadores między Internacionalem a boliwijskim Club Jorge Wilstermann, zaproponowała, że skontaktuje mnie z Tuliem. „Tulio zna wszystkich, wszyscy znają Tulię” – dobitnie wytłumaczyła mi podczas krótkiej rozmowy telefonicznej, przeprowadzonej podczas zwiedzania szalowej ekspozycji w spektakularnym budynku Fundacji Iberê Camargo. W białych murach futurystycznej budowli wystawiano niesamowite prace Reginy Silveiry, chluby sztuk plastycznych z Porto Alegre. Jej wielgachne robale, trójwymiarowe, nieprawdopodobne zdobienia przedmiotów codziennego użytku w scenerii budynku zaprojektowanego przez Álvaro Sizę Vieira wprawiały w entuzjastyczny nastrój. Wyglądało to tak, jakby cała przesada amazońskiej dżungli znalazła się na ścianach galerii, białym obrusie i porcelanowej zastawie. Jak to w Brazylii: za wiele zbyt wielkich figur, ale razem dawało to piorunujący efekt.

„Pewnie, daj mi numer do Tulię, umówimy się” – odpowiedziałem zachwycony, spoglądając z okna budynku fundacji na oddalony o dwa kilometry stadion Beira-Rio. „Beira-Rio” znaczy „na brzegu rzeki”, bo obiekt faktycznie jest położony nad rzeką Jacuí, która wpada do gigantycznego Lagoa dos Patos.

Z Tuliem spotkaliśmy się w siedzibie jego gazety „Zero Hora”, największego dziennika na południu Brazylii. Jej weekendowe wydanie z dodatkami waży prawie kilogram. Polityka,

sport, społeczeństwo, kultura, kulinaria, wywiady, reportaże, historia – nie ma szans, żeby przeczytać wszystko od deski do deski. Ot, jeden z tradycyjnych przejawów brazylijskiej przesady, którą niektórzy pięknie nazywają emfazą.

Redaktor przyjął mnie jak starego znajomego. Przedstawił połowie zespołu, oprowadził po newsroomie, a asystentce nakazał, by miała na mnie oko, zrobiła kawę i pomogła, jeśli będzie trzeba. Nie potrzebowałem pomocy, byłem oczarowany potęgą „Zero Hora”, flagowego dziennika koncernu medialnego RBS. Wszyscy się uwijali, by możliwie najszybciej skończyć swoją robotę. W newsroomie było gwarno, ale nikt nie pokrzykiwał, uśmiechy i żarty przebijały się ponad nerwowością, która zwykle panuje w redakcjach przed zamknięciem numeru. Nie trzeba było dobrej znajomości portugalskiego, żeby się domyślić, że połowa dziennikarzy śpieszy się na mecz Internacionalu. Tego dnia rozgrywki Copa Libertadores miały wrócić do Porto Alegre, a miejscowy klub bronił pucharu zdobytego w lipcu 2010 roku.

Tulio sprawnie porozdzielał zadania, po czym skinął na mnie głową i pognął do windy. Ruszyłem za nim. Chwilę potem siedzieliśmy w jego czerwonym volkswagenie golfie. Nowy model, rzadka sprawa na ulicach Porto Alegre, gdzie dominują niewielkie chevrolety i fiaty. Przed stadionem nie było szans na zaparkowanie samochodu. Ale Tulio wpakował się na jakieś podwórko przed stojącą 200 metrów dalej kamienicą. Nikt nie protestował, że podwórko zastawiają kibice Colorado. Mieszkasz koło Beira-Rio, to kibicujesz Interowi, jeśli kibicujesz, to jesteś we wspólnocie, a wspólnota sobie pomaga.

– Słyszałem, że byłeś kilka razy w Grêmio. Co tam robiłeś? To cieniasy! – zagaduje.

– Piszę o obu wielkich klubach z Porto Alegre. W końcu i wy, i oni wygraliście po dwa razy Copa Libertadores – tłumaczę się jak praktykant.

– Ale oni dawno temu, teraz się nie liczą. – Tulio puszcza do mnie oko.

Rywalizacja między „czerwonymi” a „niebieskimi” dzieli miasto jak mało które na świecie. Bo Porto Alegre to dwa kluby. Bo cały stan to dwa kluby. Możesz być z Duque de Caxias albo Rio Grande i mieć lokalny zespół, ale musisz się opowiedzieć za Colorado albo Tricolores. Nie masz wyjścia. „To rasiści. Jako ostatnia duża drużyna dopuścili czarnego piłkarza do grania” – usłyszałem kiedyś w knajpie podczas rozmowy z dziennikarzami. „Grêmio to sami Niemcy” – dorzucił ktoś prowokacyjnie, chcąc zagrać na polsko-niemieckim resentymencie. Pudło, bo wiem, że to „czarna legenda”, która nie ociera się nawet o prawdę.

Tulio Milman urodził się w rodzinie Niemców, którzy zostali zmuszeni do ucieczki z ojczyzny za czasów Hitlera. Jego dziadek był w obozie koncentracyjnym. Sporo ważnych postaci w historii klubu miało niemieckie korzenie, tak jak wielu ludzi zamieszkujących południe Brazylii. Przyjeżdżali tu jeszcze w czasach Cesarstwa Niemieckiego, a potem po pierwszej i drugiej wojnie światowej. Tulio zna niemiecki, przez rok studiował we Frankfurcie, był też stażystą w Barcelonie. W ogóle zjeździł kawał świata, sporo studiował i naprawdę świetnie włada trzema językami obcymi, co jest standardem wśród dobrze wykształconych Brazylijczyków. Brazylijczyk albo nie wyściubia nosa poza swoje miasto, albo zjeżdża pół świata i zasuwa w obcych językach prawie jak papież. Ot, tradycyjna ichnia przesada; kulturalny człowiek powiedziałby, że emfaza.

Nim wejdziemy na trybuny, trzeba iść do sklepu klubowego, bo mój przewodnik musi kupić nową koszulkę drużyny. Ma ich już ponad 300, ale co sezon wypuszczają dwa nowe wzory, więc trzeba je nabyć, żeby wspierać zespół. Za bilety też płaci – kupuje karnet, żeby nie korzystać z dziennikarskich przywilejów, tylko zasilić klubową kasę, bo w tej jest wiecznie pusto. Ja jednak płacić nie muszę, wchodzę z Tuliem, a to zmienia postać rzeczy. Znają go ochroniarze, znajają sprzedawcy.

– To mój kolega, dziennikarz z Polski, przyleciał specjalnie, żeby zobaczyć Inter. Był już w Grêmio – opowiada na bramce.

Ochroniarz zwraca oczy do nieba i wpuszcza mnie bez szermowania. Pani od hot dogów, słysząc to samo, pyta, czy jadłem hot dogi na Estádio Olímpico. Nie ma czasu na odpowiedź, bo już dołączają inni dziennikarze z mediów grupy RBS i zaczyna się rozmowa, której nie rozumiem. RBS startował w latach 20. z Rádio Gaúcha. Potem założono dziennik „Zero Hora”, potem jakąś popołudniówkę, a potem grupa przejęła konkurencyjne pisma, radia, założono telewizję, stworzono portale, aż wreszcie RBS wszedł w alians z największą grupą medialną Ameryki Południowej, Rede Globo. Ważni ludzie z RBS mają wejście dosłownie wszędzie. Ale trener Internacionalu, Celso Roth, nie lubi z nimi rozmawiać. Wszystko dlatego, że dziennikarze zmasakrowali go po Klubowych Mistrzostwach Świata, kiedy to jego Inter przegrał w półfinale z afrykańskim TP Mazembe. Co za wstyd! Nikt wcześniej w Brazylii nie słyszał o tym klubie, a teraz każdy Argentyńczyk drwi sobie z brazylijskiego futbolu kosztem Internacionalu.

– Bartek rozmawiał wczoraj z Rothem. Pół godziny, sam na sam – przedstawia mnie Tulio i nagle z niebytu wskakuję

na scenę niczym gwiazdor z Broadwayu. Z „kolejnego gringo” zmieniam się w kogoś, kto zna portugalski, kojarzy klub, zawodników i jeszcze przekonał do siebie Celso Rotha. Niestety, moja chwila chwały trwa krótko, bo pytany o ulubionego gracza z regionu wymieniam Ronaldinho Gaúcho ze znieawidzonego Grêmio. Na szczęście ktoś oczyszcza atmosferę, rzucając: „Jego to nawet w Grêmio nie lubią”. Wszyscy wybuchają śmiechem na wspomnienie katastrofalnie przeprowadzonego transferu, z którego tylko jedna piąta zysków trafiła na konta klubu, reszta zaś do menadżerów, pośredników i rodziny de Assis, zawiadującej interesami najmłodszego z braci.

Interesy te były w owym czasie rozległe, bo obejmowały zarówno nieruchomości, jak i ogromny nocny klub El Barca, gdzie na rurach i w pokojach odosobnienia przeżyły się nagie dziewczyny, a także klub piłkarski Porto Alegre EC, który miał szkolić zawodników na zachodnioeuropejski rynek. Dziś ani El Barki, ani Porto Alegre EC już nie ma.

Mecz Interu z Club Jorge Wilstermann nie dostarczył wielkich emocji. Zgodnie z przewidywaniami gospodarze gładko wygrali 3:0, a jedną z bramek zdobył niespełna 20-letni Oscar, dla którego przyjechałem do Porto Alegre. Chciałem zobaczyć go w akcji i posłuchać, co na jego temat mają do powiedzenia miejscowi, lecz ci, zamiast delektować się talentem młokosa wyciągniętego z São Paulo FC, marudzili, że na Ukrainę wyjechał Giuliano, i zastanawiali się, czy Oscar da radę go zastąpić!

Dzień wcześniej przeżyłem sytuację, która ostatecznie przekonała mnie, że zmiany zachodzące w brazylijskim futbolu przerastają nawet tych zajmujących się nim na co dzień. Rano pojechałem na trening Grêmio, zaraz po nim wziąłem taksówkę,

by zdążyć jeszcze na zajęcia Internacionalu. Ponieważ i jedni, i drudzy mieli mecze następnego dnia, treningi przeprowadzano już na płytach głównych obu stadionów. A trzeba wiedzieć, że Olímpico od Beira-Rio dzieli dziesięć minut jazdy taksówką. Trafiłem akurat na gierki. Leandro Damiano, Oscar, Zé Roberto (wrócił po epizodzie w Schalke), Argentyńczyk Andrés D'Alessandro, znany z Santosu Kléber imponowali lekkością w panowaniu nad piłką. Treningowi przyglądała się armia dziennikarzy. Odpowiedzialny za kontakty z mediami Rodrigo Weber zapytał, czy wolę rozmawiać po hiszpańsku, czy po angielsku. Widząc moje zaskoczenie, dorzucił, że po niemiecku też damy radę... Następnym razem papież!

Rodrigo zaprowadził mnie na konferencję przedmeczową. Regularny najazd na trenera. Wcale mnie więc nie dziwiło, że Celso Roth unika bezpośrednich rozmów z reporterami.

– Zgodzi się pan na rozmowę z dziennikarzem z Polski? – zapytał Rodrigo bez nadziei w głosie.

– Z Polski? A co pan wie o Internacionalu? – zwrócił się do mnie trener i nie czekając na odpowiedź, wyszedł. Spodziewając się takiej reakcji, już wcześniej opowiedziałem Weberowi, że komentuję co weekend dwa mecze ligi brazylijskiej w polskiej telewizji, że prowadzę jedyną w Polsce kolumnę południowoamerykańską dla „Tylko Piłki”, mam w Brazylii rodzinę, wierzę, że Oscar jest talentem światowej klasy, a Falcão to jeden z moich idoli. Pięć minut i cały życiorys w barwach Colorado został streszczony. Na Rodriga podziałało, na Celso Rotha także. Przyjął mnie na audiencji. Zaraz po konferencji prasowej, w przeszklonym pomieszczeniu tuż za ścianą pokoju, w którym przed chwilą gnieździli się dziennikarze z całego regionu – tak by każdy z nich mógł sobie popatrzeć.

– Dlaczego jedni trenerzy ciągle grają w tym samym ustawieniu taktycznym, a inni bez przerwy je modyfikują? Nie mogą się zdecydować na stałe rozwiązanie? – zagajam zaczepnie.

– To nie zachodnia Europa, tu zawodników się sprzedaje. Jeśli mam dwóch graczy na jednej pozycji, to prezydent klubu pierwszego już chce się pozbyć. W Niemczech czy Anglii musi być dwóch klasowych zawodników na pozycję, u nas drugi to luksus, na który stać niewiele drużyn. Kluby wyprzedają, żeby przeżyć, a u nas kupuje cały świat, więc mamy ciągłą rotację w składzie. Jeśli sprzedadzą mi obu bocznych obrońców i obu skrzydłowych, to zmieniam ustawienie, tak by korzystać z mniejszej liczby zawodników grających przy linii – wyjaśnia Roth.

Odsądzany od czci i wiary za porażkę z kongijskim TP Mazembe, wyjaśnia w ciągu kilku minut bezsens pracy trenera brazylijskiego klubu. W Brazylii ciągle trwają jakieś mistrzostwa, gra się na okrągło. Jeśli nie wygrasz, to cię wyrzucają, nie patrząc na to, że za chwilę rozpoczynają się kolejne rozgrywki, w których możesz zwyciężyć. Panuje tam prawdziwy kult wygranej, lecz bez racjonalnych podstaw, ciągła wyprzedaż zawodników powoduje bowiem, że trener nieustannie musi zmieniać warianty taktyczne.

– Słyszałeś, ilu zawodników wyjeżdża z kraju w ciągu roku? Żeby łączyć takie dziury, trzeba brać piłkarzy z małych klubów i z juniorów. Sezon jest długi, więc sprawdza się ich od razu w trakcie meczów, a nie podczas przygotowań przedsezonowych.

Trudno nie zgodzić się z Rothem, mając w pamięci informacje o rekordach bitych przez brazylijskich menadżerów, potrafiących sprzedać ponad 1000 piłkarzy w ciągu roku. To tak jakby w trakcie 12 miesięcy wyjechali z Polski wszyscy zawodnicy Ekstraklasy, I i II ligi. Działo się tak przez trzy sezony z rzędu, aż poziom ligi zaszorował o dno.

Trzy lata po rozmowie z Celso Rothem trzymana w tajemnicy wieść o upadku brazylijskiej piłki nożnej czekała już tylko na odkrycie przez resztę świata. A my, ludzie karmiący się brazylijskim futbolem, zastanawialiśmy się jedynie, kiedy to wszystko runie z całym impetem. Kiedy kanarek upadnie.

Zanim odwiedziłem Internacional, zanim poznałem Tulia Milmana, byłem w Grêmio.

Grêmio i Inter to – jak śpiewają Świeliki – „odwieczna dychotomia, jak Staś i Nel, jak Wisła i Cracovia”. Kibice obu klubów się nie znoszą, a określenie się po stronie „czerwonych” czy „niebieskich” ma duże znaczenie w biznesie, życiu codziennym, dosłownie we wszystkim. Największy bank stanowy, Banrisul, na wszelki wypadek sponsoruje oba kluby równocześnie. Reklamy banku na autobusach miejskich są więc w dwóch kolorach. W supermarketach dziewczyny zachwalające produkty jednego z operatorów komórkowych ubrane są przy jednym stoisku na czerwono, a przy drugim na niebiesko. Każdy chce sprzedać to samo, ale w innym kolorze, bo Porto Alegre jest miastem futbolu, a futbol to Grêmio albo Internacional. Wojna między kibicami jest totalna, czasem podlana rasistowskim sosem. Ci z Internacionalu uważają, że Grêmio to klub bogaczy i rasistów. Rozpowszechniają informację, jakoby dopiero w 1952 roku jako ostatni z wielkich klubów Brazylii przyjął w swe szeregi ciemnoskórego piłkarza. To jednak nieprawda. Już w 1926 roku w trójkolorowych barwach pojawił się Adão Lima, a było to o dwa lata wcześniej od debiutu Dirceu Alvesa w barwach Internacionalu.

Ba, twórcą hymnu Grêmio był najślawniejszy w regionie sambista, ciemnoskóry Lupicínio Rodrigues. Coś jednak jest

na rzeczy, skoro kibice Grêmio regularnie obrażają lokalnych rywali, nazywając ich *macacos* (małpy), a czarna małpka stała się nawet drugą, nieoficjalną maskotką Internacionalu.

Prawdą jest jednak, że w początkach przygody Porto Alegre z „foot-balem”, jak zwano ówczesną nowinkę z miejskich placów, w składzie tej drużyny nie było czarnych zawodników. Prawdą jest też, że to emigranci z Niemiec sprowadzili tę zabawę do Rio Grande do Sul, a pierwsza liga miejska w Porto Alegre tworzona była przez takie kluby, jak Fussball Club Porto Alegre czy Fussball Mannschaft Frisch Auf. A 100 lat temu w kadrach klubów z Porto Alegre dominowali gracze z takimi nazwiskami, jak Dopperman, Poppe, Becker, Welternich, Schroeder czy Grunewald.

Kilka lat później czarni piłkarze powołali do życia własne drużyny i wystartowali z własnymi rozgrywkami (do dziś trwają spory, czy w 1912, czy w 1915 roku). Zrobili to, bo biali nie chcieli ich we własnych drużynach. Czarnych dopuszczono do gry dopiero w 1922 roku, ale tylko w drugiej lidze.

Dziś ta kwestia jest już mniej istotna, bo prawie połowa zawodników obu zespołów to ciemnoskórzy. Południe Brazylii ciągle jednak pozostaje najbielszym regionem kraju, zamieszkanym głównie przez potomków Włochów, Niemców, Polaków, Ukraińców i Żydów. Według IBGE (brazylijski odpowiednik Głównego Urzędu Statystycznego) 87 procent białych mieszkających w regionie grubo przekracza krajową średnią.

W dodatku sportowym w „Zero Hora” jest tyle samo tekstów na temat Interu, co Grêmio, oba kluby mają swoich dziennikarzy,

którzy od rana do nocy siedzą na stadionie, pod szatnią, na parkingu i wiedzą o wszystkim, co się w nich dzieje!

Grêmio w tamtych czasach obsługiwała dziewczyna, Tatiana. Zresztą nieszczerze sympatyczna. Kiedyś korespondowaliśmy przy okazji jakichś materiałów zbieranych do tekstu dla „Tylko Piłki”. Kilkanaście miesięcy potem, ku zdumieniu dziewczyny, wmaszerowałem do pokoju dziennikarzy na Estádio Olímpico. Było tam sporo przedstawicieli lokalnych mediów, kilku fotoreporterów, parę osób z różnych mediów RBS oraz odziany w argentyńską koszulkę i czapkę Newell's Old Boys reporter GloboEsporte.com. Nazywał się Eduardo Cecconi i mówił niewiele, ale przysłuchiwał się naszemu sporowi na temat coraz mniej atrakcyjnego dla *gringos* stylu gry brazylijskich klubów. Jak dowiedziałem się po latach, pasjami przeprowadzał w internecie analizy taktyczne gry różnych drużyn. Dowiedziałem się też, że został analitykiem pomagającym trenerowi... Grêmio, Rogerowi!

– W dobie triumfów Barcelony i reprezentacji Hiszpanii długie piłki to prymitywizm – głosiłem, nie zdając sobie sprawy, że muruję sobie dostęp do działów sportowych lokalnych mediów, bo Brazylijczycy nie chcą słuchać od Polaka krytycznych uwag o swoim futbolu.

„Tati”, jak nazywali Tatiannę pozostali dziennikarze, nie odezwała się słowem. Za to inni chętnie rozmawiali o polskich przygotowaniach do Euro 2012, ale też dzielili się informacjami na temat piłki na południu Brazylii. Kiedy okazało się, że znam skład, wiem, kim jest i był obecny trener Grêmio, a jeszcze kojarzę grających w Europie piłkarzy jako wychowanków klubu, lody zostały przełamane.

Jeden z chłopaków pracował w agencji PR zajmującej się obsługą sportowców i trenerów. Mieli w stajni kilkadziesiąt nazwisk, w tym agencje menadżerskie. Podawali informacje do mediów i mediów społecznościowych na temat występów w meczach, leczenia kontuzji, oczekiwań w związku z powołaniami reprezentacyjnymi, oferowali komentarze i analizy. Jeśli potrzebujesz wypowiedź i zdjęcia z treningu Diego Alvesa czy Andréasa D'Alessandro, piszesz do nich i już. Załatwiasz sprawy mailowo, nawet przez ocean.

– Dużą macie konkurencję? – pytam filigranowego Bruno Jonqueirę, odpowiedzialnego w firmie za Grêmio.

– Na południu niewielką, ale w São Paulo czy Rio podobnych firm nie brakuje. Niektóre agencje menadżerskie obsługują zawodników i trenerów także w zakresie komunikacji – wyciskam z niechętnego do zwierzeń Brazylijczyka, który przez następne lata przysyłać mi będzie komunikaty na temat urugwajskiego trenera Jorge Fossatiego oraz Wellingtona, Luana czy Jorge Valdívii.

Rzeczywiście, Traffic, BMG czy Sonda w tamtym czasie też miały potężne wsparcie speców od kontaktów z mediami. Dzięki nim agencje te w ekspresowym tempie potrafiły rozprzestrzenić informacje na temat zawodników, których chciały sprzedać za granicę. A media w Hiszpanii, Portugalii czy Italii podchwytowały każdy trop, by znaleźć „nowego Romário”, „młodego Ronaldinho” albo „gracza w stylu Rivaldo”. PR-owcy doskonale wiedzieli, że inwestorzy z Grecji, Turcji, Ukrainy czy Rosji posiadają sporo pieniędzy do wydania na talenty z Brazylii, lecz nie mają wieloletniego rozeznania rynku, tak jak menadżerowie z południa czy zachodu Europy. Kilka tekstów w portugalskiej i hiszpańskiej prasie natychmiast wzmagało zainteresowanie

zawodnikiem, a przysyłanie menadżerów, którzy nie znali reguł negocjacji w Brazylii, pozwalało na podbijanie cen.

Sprzedanie Kerlona, niegrającego w żadnej reprezentacji ani nawet w wyjściowym składzie Cruzeiro, było jednym z kilku majstersztyków brazylijskich menadżerów w tamtym czasie. W 2008 roku 20-letniego piłkarza wciśnięto mistrzowi Włoch, Interowi Mediolan, za prawie 1,5 miliona euro, zostawiając sobie jeszcze 20 procent praw w razie kolejnego transferu!

Pogawędki z dziennikarzami kończy wejście rzeczników prasowych. Grêmio ma ich dwóch. Sympatycznego João Paulo i mruka Victora. Szybko orientuję się, że Victor jest ważniejszy. Mówi niewiele, słucha uważnie.

Po pierwsze, nie może pojąć, że przyjechałem sam, bez żadnej kamery, a zdjęcia robię takim sobie aparacikiem. Po drugie, irytuje go, że zapowiadam wyjazd na Beira-Rio, na twarzy ma wypisaną niechęć do Internacionalu. To równocześnie moje przekleństwo, jak i atut. Przekleństwo, bo Victor kilka razy każe mi poczekać przed rozmowami czy treningami; atut, bo będzie chciał koniecznie pokazać swój klub z lepszej strony, co oznaczać będzie rozmowy z trenerem, dyrektorem sportowym i wybranymi przeze mnie zawodnikami. Pierwszego dnia zabierze mnie na trening na płycie boiska.

Wchodzących na płytę boiska wita wielki napis „*O campeão do mundo*” (mistrzowie świata), przypominający o wiktorii z 1983 roku. Właśnie wtedy Grêmio pierwszy raz wygrało Copa Libertadores, a potem pokonało w Pucharze Interkontynentalnym najlepszy klub Europy, Hamburger SV. Bohaterem tego drugiego meczu był 21-letni Renato Gaúcho, strzelec obu goli dla Grêmio. Dziś Renato jest trenerem Trójkolorowych.

Renato w brazylijskich mediach ma tyłuż wrogów, co admira-torów. Kochają go kibice Grêmio i Fluminense za wielkie mecze w ich barwach, nie znoszą fani lokalnych rywali oraz trenerzy pracujący nad rozwojem i marzący o długotrwałej współpracy z klubem, któremu będą mogli zaoferować szeroko zakrojony proces szkoleniowy i nowinki taktyczne, nad jakimi główkują po nocach. Renato nie bawi się w takie historie. Pracuje tyl-ko w klubach z miast, w których grał, nie interesują go żadne taktyczne zawilości, stawia na graczy najtwardszych i sprawdzo-nych, nie promuje młodych talentów, ustawia zawodników bez zbędnego ryzyka, woli walkę od cierpliwego rozgrywania, na które chyba nie ma pomysłu.

Upewniam się w swoich przeczeniach już po kilkunastu mi-nutach treningu. Renato zarządza mecz na całym boisku, grają wszyscy piłkarze, których ma w kadrze, 13 na 13. Na murawie jest tłoczno, a główny cel to przerzucenie piłki tam, gdzie znajdu-je się mniej przeciwników. Kiedyś coś podobnego Chilijczykowi serwował Marcelo Bielsa, lecz u niego 13 zawodników rywala atakowało 11 jego podopiecznych, którzy mieli za zadanie jak najdłużej utrzymać się przy piłce, ciągle wymieniając podania. Na Estádio Olímpico w Porto Alegre niczego podobnego nie wi-działem. Raczej kopaninę, której nie przyglądał się nawet trener.

Ale najlepsze i tak miało nadejść. Kilkanaście minut po roz-poczęciu gierki na boisku melduje się Carlos Alberto. Odkąd ten były zawodnik FC Porto (z ekipą Mourinho wygrał Ligę Mistrzów w wieku 20 lat!) wrócił do kraju w 2005 roku, w sto-licy Rio Grande do Sul zalicza już siódmy przystanek w cią-gu niespełna sześciu lat! Ponoć nie układa mu się z trenerami. Ponoć?! Spóźniony as wbiega na murawę obwieszony złotym zegarkiem, łańcuchem i kolczykami. Jedyne gracz pola ubrany

w dres, oczywiście innego koloru niż stroje pozostałych piłkarzy biorących udział w treningu...

A Renato? Renato dostał nową komórkę, smartfona. Chyba miał problem z nowymi aplikacjami, bo wspólnie z asystentem cały czas gapili się w ekran zabawki...

Następnego dnia przychodzę na ostatni trening przed meczem, zawodnicy ćwiczą na bocznych boiskach. Victor pyta, kogo chcę wziąć na spytki. Ku jego zdumieniu wybieram Williana Magrão, kiedyś kapitalnie rokującego młodzieńca, wysokiego defensywnego pomocnika, przypominającego w stylu gry trochę Gago, a trochę Redondo. Miał dziewięć miesięcy przerwy, a pół roku po powrocie zaliczył kolejną groźną kontuzję, która praktycznie pozbawiła go szans na karierę w Brazylii i wyjazd za granicę. Kiedy piszę tę książkę, mało kto jeszcze o nim pamięta...

Willian stał oparty o płot i obserwował trening. Dwa tygodnie wcześniej skończył 24 lata, ostatni dzwonek, by dostać dobry kontrakt w Europie.

– Jakiś uraz? – zagajam na dzień dobry.

– Ciągnie się jeszcze kontuzja z końca dwa tysiące dziesiątego – odpowiada znudzony zawodnik i zerka przez moje ramię na biegających za piłką kolegów.

– Człowieku, masz wielki talent, mam nadzieję, że kiedyś trafisz do świetnego klubu – wypalam i sam nie mogę się nadziwić, że to powiedziałem.

Po czym tłumaczę mu, że w 2008 roku komentowałem ligę brazylijską i z nostalgią wspominam jego kapitalną grę obok Rafaela Carioki. Byli najlepszym duetem defensywnych pomocników w Brazylii. Rafael wraz z końcem sezonu wyjechał za grube pieniądze do Spartaka Moskwa, Willian został, by jeszcze trochę

się wypromować... Mając 21 lat, był na fali, w wieku 24 podpiera płot przy boisku.

– Kiedy oglądałem was razem, mówiłem, że jesteś prawie jak Gago albo Redondo. Masz wspaniałą *timing*, odbierasz piłkę tak łatwo, a potem ruszasz do przodu, europejscy menadżerowie takich kochają.

Willian naprawdę się ucieszył i na chwilę zapomniał o kąpiących za moimi plecami kolegach. Zaczął opowiadać o rehabilitacji, o tym, że jeszcze się nie poddaje, że wprawdzie ciągle odczuwa ból przy sprintach, ale ma nadzieję, że do końca 2011 roku wróci do pełnej formy, jak kiedyś.

Ale nie wrócił. Jego miejsce w składzie zajął Adílson Warken, którego Grêmio też dobrze sprzedało do Rosji. Kiedy chwilę potem opowiadałem dyrektorowi sportowemu, Cícero Souzie, o rozmowie z Willianem, był zaskoczony. I tym, że tak dobrze go znam, i tym, że jestem takim optymistą...

– Mamy potężne zaplecze – tłumaczył menadżer – każdy z południa Brazylii chce u nas grać. Grêmio to marka i przepustka do kariery.

Cícero miał udział w sukcesie Lucasa Leivy sprzedanego do Liverpoolu FC, Douglasa Costy kupionego przez Szachtar i Mário Fernandesa wytransferowanego do CSKA. Przychodząc do Grêmio, dostrzegł potencjał w rynku rosyjskim i ukraińskim. Doskonale zdawał sobie sprawę, że prezesi tamtejszych klubów, chcąc rozepchać się na brazylijskim podwórku, muszą przepłacać, aby wyrobić sobie markę w klubach, wśród agentów i samych piłkarzy. Grêmio czy lokalny konkurent Inter dosyć szybko zrozumiały, że tradycyjne transfery do Portugalii, Włoch czy Hiszpanii niekoniecznie przyniosą największe przychody. Wschodzące gwiazdy piłki z Rio Grande do Sul przed

ukończeniem 20 lat trafiały do młodzieżowych reprezentacji Brazylii, potem trenerzy „podtuczali” je w meczach, których kluby grają dziesiątki. Zanim chłopak opatrzył się lokalnym kibicom, już zdobywał rozgłos i „opinię”. Wówczas zaczynały interesować się nimi zachodnioeuropejskie kluby, a portale i gazety podchwytywały trop. Bogacze z Rosji i Ukrainy nie chcieli czekać na oferty konkurentów, więc z walizkami pełnymi dolarów ostro wkraczali do gry.

Cícero miał świetny pomysł na promocję młodych talentów, zachęcał, by Grêmio zawsze wystawiało w pierwszej drużynie kilku młodych chłopaków.

– Kiedyś szukaliśmy zawodników tylko w Rio Grande i Santa Catarinie. Teraz Grêmio ma swoich skautów prawie w całej Brazylii. Każdy chce zrobić karierę jak Ronaldinho, Anderson czy Lucas Leiva. A my mamy warunki i bazę i wszyscy o tym wiedzą.

Sęk w tym, że nawet człowiek nadzorujący sekcje młodzieżowe i pracujący z pierwszą drużyną nie jest panem sytuacji. W takich klubach jak Grêmio jest jeszcze wiceprezydent do spraw futbolu i sam prezydent klubu. Ludzie z rozdania politycznego wchodzi do zarządu nie dlatego, że kiedyś byli piłkarzami czy trenerami, lecz dlatego, że frakcja wygrywająca wybory musi obsadzić miejsca i decydować o transferach. O tak! Decydowanie o transferach jest najprzyjemniejszą częścią futbolowego życia prezydenta klubu. Cícero pozna niedługo ten problem, bo po zmianie rządów w Grêmio musiał szukać pracy na północy, w Sport Club do Recife, stamtąd – po epizodzie z niewielką Criçuíą EC na południu kraju – trafił do pogrążonej w chaosie EC Bahii, od początku 2015 roku pracuje zaś dla Palmeirasu, z którym zdobywa tytuł za tytułem, łącznie z dwoma mistrzostwami Brazylii w 2016 i 2018 roku.

Menadżer Grêmio opowiada mi o pozyskiwaniu nowych kontrahentów, sam wypytuje o sytuację na polskim rynku. Wygląda to trochę tak, jakby dyrektor sportowy był szefem działu handlu w firmie produkcyjnej. A w zasadzie w fabryce talentów, jaką niewątpliwie jest Grêmio.

Pogawędkę przerywa Victor. Młody rzecznik woła mnie na rozmowę z trenerem, Renato Gaúcho. Chwilę wcześniej słyszałem jednym uchem, jak zagadywał szkoleniowca, który znudzonym tonem odpowiadał:

– Skąd przyjechał ten łysy? A o czym chce rozmawiać?

– Chciałbym porozmawiać o brazylijskim futbolu – zacząłem więc wywiad, kiedy już usadowiono mnie na niewygodnym zydlu obok trenera.

Renato znalazł dla mnie czas podczas... manicure'u! Areną spotkania była salka audiowizualna, gdzie zawodnicy i trenerzy oglądają wyczerpujące omówienia i analizy fragmentów meczów. Trener w sportowym stroju, rozwalony na fotelu (do dziś mam wrażenie graniczące z pewnością, że w grę wchodził też pedicure, ale do tej pory nie wiem, czy to już nie moja imaginacja), w otoczeniu dwóch pracowników działu komunikacji, asystenta, no i dwóch klubowych pielęgniarek. Prawdziwy król klubu, który może i ma wybieralnego prezydenta, ale króla tylko jednego!

Szybko zrozumiałem, że wazeliniarstwo pomoże mi w przedłużeniu wywiadu o cenne minuty. Powiedziałem więc bez ceregieli:

– Do dziś wielu ludzi wspomina pana wyśmienity występ przeciw Hamburgerowi w Pucharze Interkontynentalnym. To był przełom?

– Żebyś wiedział! Wchodzę przy zero do jednego i strzelam dwa gole dające nam wygraną dwa do jednego. Zostajemy

klubowymi mistrzami świata. Miałem dwadzieścia jeden lat, konkurencja była wtedy ogromna, ale po tym meczu znał mnie każdy, trafiłem do reprezentacji Brazylii – zaczęła wspominać legendarna „siódemka” Grêmio, a potem Flamengo i Fluminense. Później opowiedział mi o brazylijskich rozgrywkach w latach 80. Prawie wszyscy najlepsi Brazylijczycy grali wtedy w ojczyźnie; jeśli brazylijski klub kupował kogoś z innego kraju Ameryki Południowej – zwykle po odejściu jakiegoś jeszcze bardziej znanego brazylijskiego gracza za grube pieniądze do Hiszpanii, Italii, rzadziej Francji lub Portugalii – był to zazwyczaj reprezentant kraju z wyrobionym nazwiskiem i dokonaniem.

Pytam Renato o głośne wykluczenie z kadry na mistrzostwa świata w Meksyku; miał wówczas niespełna 24 lata, był w życiowej formie, dosłownie latał. Każdy wiedział, że mundial miał być jego przepustką do wielkiego transferu do europejskiego klubu, bo były to dziś trudne do wyobrażenia czasy, kiedy wielkie zespoły nie angażowały więcej niż dwóch, góra trzech obcokrajowców.

– Wiele razy to już wyjaśniałem. Pod koniec zgrupowania razem z grupą chłopaków wyskoczyliśmy wieczorem na miasto. Bez szaleństw, po prostu trochę odetchnąć. Kiedy wracaliśmy, chłopaki przeskoczyły przez płot i jak gdyby nigdy nic wróciły do swoich łóżek, a ja zostałem przy gorzej dysponowanym Leandro i razem z nim wszedłem głównym wejściem. Następnego dnia Telê skreślił nas obu. To nie było sprawiedliwe. Nie byłem pijany, nie udawałem, że nic się nie stało, wszedłem do pokoju jak dorosły człowiek, który nie ma nic do ukrycia – relacjonuje bez żalu Renato.

Nie wygląda na człowieka, który miewa wyrzuty sumienia czy wielkie rozterki. A może to tylko maska, pozory? Pewnie

para Renato Gaúcho – Leandro byłaby pierwszym wyborem selekcjonera podczas ustalania składu w trakcie meksykańskiego czempionatu.

Ale Telê był trenerem z zasadami. Podczas mundialu podpytywałem brazylijskich dziennikarzy o legendarnego „ojca chrzestnego” *joga bonita*. Każdy z nich opowiadał, że Telê trzymał zawodników krótko, że nie było u niego żadnej „swobodnej gry”, a historie o improwizacji wynikają tylko z niewiedzy na temat metod pracy tego szkoleniowca. Paulo Vinicius Coelho, który pracował wówczas w ESPN (dziś jest dziennikarzem w FOX Sports), sprzedał taką anegdotę: Muricy Ramalho, który w XXI wieku wygrał najwięcej z brazylijskich trenerów, uchodzi za pracusia albo wręcz za katorżnika. I właśnie on mawiał, że wszystkiego, co najlepsze, nauczył się od Mestre Santany i spośród wszystkich trenerów, których zna, nikt inny nie piłował piłkarzy bardziej.

– A Roma? Dlaczego grałeś we Włoszech tylko jeden sezon? – dopytuję Renato o transfer z 1988 roku; miał w Rzymie zastąpić cieszącego się zasłużoną renomą Zbigniewa Bońka.

Trener Grêmio zbywa mnie byle czym, następnie dodaje, że miał ofertę od Flamengo za „te same pieniądze”, więc wybrał powrót do Rio.

Zastanawiam się, dlaczego brazylijska reprezentacja nie odnosi takich sukcesów jak dawniej, dlaczego tak niewielu brazylijskich piłkarzy młodego pokolenia robi światowe kariery. Ronaldinho schodzi ze sceny, Kaká też ma już szczyt formy za sobą, a następców tej klasy nie widać.

– Brazylijski piłkarz musi dojrzeć taktycznie. W Europie futbol jest bardziej taktyczny od naszego, ale kiedy Brazylijczyk przylatuje na Stary Kontynent i pokazuje, jak świetnym jest

technikiem, to jest wielkie *wow!* Jeśli więc popracuje nad przygotowaniem taktycznym, staje się znakomity – wyjaśnia trener Grêmio.

Dzień później, podczas wspomnianej już wcześniej rozmowy z Celso Rothem, zapytałem trenera Internacionalu, co sądzi o opinii Renato na temat Brazylijczyków i Europejczyków.

– Uff. – Najpierw wypuścił z siebie powietrze, a potem powiedział najbardziej dyplomatycznie, jak tylko potrafił: – Szanuję opinię Renato, lecz kompletnie się z nią nie zgadzam. Praca nad przygotowaniem taktycznym i szkolenie techniki są nierozdzielnymi elementami wyszkolenia zawodnika. Nasz problem jest inny: to brak ciągłości. Jeśli klub w ciągu roku prowadzi trzech, czterech trenerów, a kadra z lutego ma niewiele wspólnego z kadrą z października, to jak mamy przygotować zawodników do gry zespołowej? Tu nie chodzi o dziesięciu dryblerów, tylko o złożenie z tych ludzi drużyny, która będzie realizowała zadania boiskowe.

Tymczasem Renato po wygłoszeniu jeszcze kilku kwestii na temat wyższości brazylijskich graczy nakazał wniesienie koszulki Grêmio z legendarnym numerem 10. Podpisał ją: „Dla przyjaciela, Renato”, wyściskał mnie i kazał robić zdjęcia.

Następnego dnia na stronie klubu i stronie „Zero Hora” donoszono o polskim dziennikarzu, który oddał hołd idolowi...



Fot. Friedemann Vogel / Getty Images



Po lewej: São Paulo w niedzielę, kiedy zamykają Avenidę Paulistę, najbardziej reprezentacyjną ulicę miasta

Po lewej, na dole: Favela obok Areny Corinthians

Poniżej: Arena Corinthians. Zawalenie dźwigu uszkodziło podstawę stadionu przygotowanego na otwarcie mundialu. FIFA naciągnęła własne przepisy bezpieczeństwa i dopuściła obiekt, mimo że nie rozegrano na nim wymaganej liczby meczów testowych z pełnymi trybunami



Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń

EQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

